

Moim groundhopperskim celem na ten rok było pooglądanie meczów w Austrii i na Węgrzech, gdzie jeszcze spotkań piłkarskich nie widziałem. Wykorzystując fakt, że mojej żonie niedawno podobało się nad Balatonem, to postanowiłem w sierpniu wrócić tam, ale koniecznie samochodem. Żeby nie narzekała, że tylko latamy po meczach, to przygotowałem kompromisowy plan. Na powitanie mieliśmy pooglądać mecz na Węgrzech. Potem zaplanowałem pięć dni leżakowania nad Balatonem, by w drodze powrotnej zobaczyć chociaż jeden (a raczej dwa) mecze w Austrii.



W sobotę przyjechaliśmy do miejscowości Bük, gdzie mieliśmy zamówiony nocleg. Miejscowość ta słynie z termalnych basenów, których jednak nie mieliśmy w planie. Miasteczko to nie podobało się nam. A drogi wokół niego to jak u nas drogi do wiosek zabitych deskami. Na plus zaliczam zamówiony przez neta nocleg. Właścicielka dobrze mówiła po czesku, a że Czechy to kraj często przez nas odwiedzany, to nie mieliśmy problemów z dogadaniem się. Trochę miała dziwną minę jak usłyszała, że my nie przyjechaliśmy na baseny, tylko jedziemy na mecz Szambothelyi Haladas – MTK Budapeszt, ale każdy robi to co lubi.

Pół godziny przed meczem zjawiliśmy się pod stadionem. Gdyby nie przyznane nam akredytacje, to nie weszlibyśmy na czas, bo okazało się, że są dwie kolejki. W jednej się stoi,

żeby wyrobić karty kibica, a w drugiej by mając kartę kupić bilet. Tak dokładnie, to zamiast akredytacji dostaliśmy imienne bilety. A że oni nie znali w klubie naszych dat urodzenia, to je zmyślili. Mi ucieli około 10 lat.

Mecz oglądało niewiele ponad 3 tysiące osób. Doping w porównaniu z polskim był słaby słaby. W sektorze gości 8 osób. W bramce gospodarzy słynny Gabor Kiraly, który kiedyś przytrzymał na ławce Herthy naszego Tomasza Kuszczaka. Mimo, że było 30 stopni, to tradycyjnie grał w swoich szarych spodniach dresowych. Gospodarze choć byli zdecydowanie lepsi, to tracąc gola w ostatnich sekundach zremisowali 2:2.



Gdy wracaliśmy tymi „polnymi” drogami z Szombathely do Bük, to co chwilę widzieliśmy sarny, lisy itp.

W niedzielę rano poszliśmy jeszcze na mszę. Po niej nie mieliśmy zielonego pojęcia, czego dotyczyły czytania tego dnia. Taki urok węgierskiego języka.

Od niedzieli do piątku mieszkaliśmy w miejscowości Heviz, która słynie z termalnego jeziora, które ma kilkadziesiąt metrów głębokości. Tak jest nawet przy samym brzegu. Ludzie wchodzić więc do wody z kołami ratunkowymi, w których godzinami moczą się w jeziorze, gdzie temperatura wynosi około 36 stopni. Na tafli jeziora widać same głowy. Nas taka atrakcja, a zwłaszcza perspektywa tej głębokości, nie elektryzowała, stąd codziennie jeździliśmy do Keszthely nad Balaton. Tam najpierw załamaliśmy się jak zobaczyliśmy brudną wodę na plaży miejskiej (Varosi Strand). Na szczęście pani, u której mieszkaliśmy podpowiedziała nam, że obok jest plaża Helikon Strand, która jest dużo lepsza. Nie wierzyłem, ale faktycznie 2 km obok była dużo bardziej czysta woda. Dodam, że była ciepła aż do przesady. Balaton to specyficzne jezioro. Nawet kilkaset metrów od brzegu woda sięga ludziom do pasa. W związku z tym prawie nikt (oprócz dzieci) tam nie pływa, a wszyscy sobie po jeziorze brodzą. A że ja mając długie i przystosowane do brodzenia nogi, to sobie też tak tam brodziłem.

Choć wiedziałem, że w Heviz i Keszthely są jakieś stadiony, to nie planowałem ich szukać. Faktycznie ich nie szukałem, no ale nie odmówiłem sobie zwidzenia obiektu FC Keszthely, gdy się okazało, że jest on tuż obok plaży miejskiej.



Heviz i Keszthely to bardzo ładne miasteczka. Nie lubię węgierskich płaskich krajobrazów. Te miasteczka są jednak na terenie górzystym. Widoki tam są takie bardziej chorwackie. W Heviz jest mnóstwo turystów z Rosji, a w Keszthely z Niemiec. O dziwo są to drogie miasta, ale w

Heviz są tanie noclegi. Na bookingu były najtańsze w okolicach Balatonu. Na tyle tańsze, że cenowo opłacało nam się dojeżdżać codziennie 10 km do Keszthely. Za bardzo dobrze wyposażone mieszkanie (z parkingiem, wifi i rowerami) płaciliśmy 25 euro za dobę.



Ela bardzo się ucieszyła, gdy znalazła w Heviz dancing, gdzie dwa razy byliśmy. Dodam, że tam nie znają przeboju „A teraz idziemy na jednego” i grajek grał bez przerw.

Ceny żywności i napojów porównywalne do naszych. Tzn. takie jak u nas w miejscowościach nieturystycznych. Np. znalazłem knajpę, która codziennie miała tzw. obiad dnia. Kosztował on 890 forint, czyli około 12 zł. Przykładowy zestaw składał się z rosółu z makaronem, grillowanego mięsa drobiowego (kawałek piersi) i wieprzowego (karczek) oraz dużej porcji frytek. Piwo w knajpach to wydatek około 7 zł.

Gdy w piątek opuszczaliśmy naszą bazę, to okazało się, że właściciele jej też ciągle jeżdżą na mecze. Są fanatykami Ferencvarosu, a do tego latają na mecze po Europie. Porozumiewałem się z nimi po niemiecku, który znali na moim słabym poziomie, co wbrew pozorom ułatwiało komunikację.

W piątek mieliśmy zaplanowany wyjazd na mecz do Wiener Neustadt. Jednak ze względu na drogie noclegi w tamtym rejonie Austrii, zamówiliśmy nocleg w Sopron ... na Węgrzech. Było o połowę taniej i jeszcze do tego było śniadanie w cenie. Uznałem, że lepiej nadłożyć 40 km w jedną stronę, a zapłacić 140 zł mniej i mieć do tego poranny posiłek.

W Wiener Neustadt zobaczyliśmy mecz austriackiej 1. ligi (podobnie jak u nas to faktycznie 2. liga), S.C. Wiener Neustadt – SV Kapfenberg. Ten mecz to najbardziej zapamiętam, jako ten mój pierwszy w Austrii. Goście, po bardzo słabym meczu, pewnie wygrali 2:0. Obie drużyny miały doping swoich młynów. Był on jednak poziomie polskiej III ligi. Na trybunach było zaledwie 750 widzów.



Na drugi dzień w sobotę, po spacerze po Sopronie, ruszyliśmy do miejscowości Maria Enzersdorf na mecz austriackiej Bundesligi, Admira Wacker – FC Red Bull Salzburg. To spotkanie oglądało 2900 osób. Doping był przeciętny. Mecz był na przeciętnym poziomie polskiej ekstraklasy, ale ze wskazaniem, że Salzburg, to odpowiednik Legii i Lecha. Ma w składzie piłkarza, który mnie oczarował. To Peruwianczyk Reyna. Mimo, że zdobył gola, to jego zespół nie wygrał. Było 2:2.

Bilety na mecze w Austrii są drogie. W Wiener Neustadt były po 15, a na Admirze po 22 euro.

Po meczu łatwo jest je na trybunach znaleźć. Programy na oba mecze były rozdawane za darmo. Drogi za to jest catering. Na Admirze cola i piwo kosztowały po 3,5 euro. Chociaż na wszystkie mecze wchodziliśmy na akredytacje, to nigdzie nie dostaliśmy nawet szklanki wody, a dodam, że oba mecze zaczynały się przy temperaturze 36 stopni.

Po meczu Admiry ruszyliśmy do domu. O północy, gdy zatrzymaliśmy się w Mikulovie w Czechach, to było 31 stopni, a na dużej stacji nie było żadnej wody (tylko smakowe). Te napoje, które stały w lodówkach były ciepłe, bo tak dużo ludzi je kupowało i nie nadążały się chłodzić.

Przez 8 dni przejechaliśmy 1340 km, zobaczyliśmy 3 mecze w 2 krajach, z tego 2 z najwyższych lig. W tych meczach padło 10 bramek. Każdy klub zaprezentował nam swój młyn (lub bardziej młynek). Piłkarsko były to mecze na poziomie przeciętnych spotkań naszej ligi. Dużo gorzej od naszej ligi wyglądały one pod względem kibicowskim.

Po tej wyprawie mam zaliczone mecze w 8 krajach (Polska, Słowacja, Chorwacja, Czechy, Czarnogóra, Niemcy, Węgry i Austria).

Zdjęcia, filmy i dokładniejsze opisy meczów znajdziecie na tej stronie.

Ten opis wyprawy znajdziecie też na przegladligowy.com

www.facebook.com/mojewielkiemecze

@MojeWielkieMecz

{jcomments on}